

"Znaki szczególne Zmartwychwstałego" - Rekolekcje paschalne - o. S. Popławski, o. A. Szustak, o. Jacek Szymczak OP, W drodze, 2022

Wstęp

Wiele robimy, by przygotować się do świąt Wielkanocy - podejmujemy różne wyrzeczenia, uczestniczymy w rekolekcjach i nabożeństwach pasyjnych, spowiadamy się i uczymy nowych sposobów modlitwy.

I dobrze, bo Triduum Paschalne i oktawa Wielkanocy rzeczywiście zasługują na to, by wszystko w sobie zmobilizować, aby jak najlepiej przeżyć te dni.

➤ Co jednak z pozostałą częścią okresu paschalnego?

Czy nie jest tak, że chcąc odpocząć po intensywnym Wielkim Poście, tak naprawdę nie świętujemy tego, na co tak bardzo czekaliśmy?

Jak dobrze przeżyć cały okres wielkanocny, czyli pięćdziesiąt dni od zmartwychwstania do zesłania Ducha Świętego?

Jak prawdziwie zobaczyć i spotkać Zmartwychwstałego?

Książka, którą trzymasz w ręku, odpowiada właśnie na te pytania, ponieważ jest to zbiór rozważań na okres paschalny, w którym trzej dominikanie - Szymon Popławski, Adam Szustak i Jacek Szymczak - dzielą się swoim doświadczeniem spotkania z Jezusem Zmartwychwstałym.

Wyjaśniają, jak Go rozpoznać, jakie są Jego szczególne znaki i gdzie Go szukać w codziennym życiu.

Ponadto podpowiadają,

- ❖ co może być przeszkodą w dostrzeżeniu w nas i wokół nas błysków Jego obecności, a także
- ❖ co trzeba usunąć albo do czego powrócić, by na nowo odkryć niezwykłą moc Jego miłości.

Znaki szczególne Zmartwychwstałego. Rekolekcje paschalne to publikacja przygotowana na podstawie internetowych serii z portalu dominikanie.pl.

Jej pierwszym i najważniejszym fundamentem jest jednak słowo Boże zapisane w Biblii. Do niego nieustannie i na różne sposoby odwołują się bracia kaznodzieje, co oznacza, że poszczególne rozważania są nie tylko zbiorem myśli i komentarzy biblijnych, lecz także Słowem, przez które do naszego życia może wejść sam Bóg - czego życzymy. REDAKCJA.

Szymon Popławski OP – **Błyski zmartwychwstania**

Rudera, czyli miejsce, które jest skrzyżowaniem szopy z bunkrem, miejsce ciemne, duszne, niemiłosiernie brudne i wypełnione nieprzyjemnym zapachem, do złudzenia przypomina mi ludzkie serce przed przyjęciem doświadczenia zmartwychwstania.

W każdym z nas panuje mrok, zamęt, chaos, bałagan, dopóki w ciemnościach nie rozbłyśnie Boże światło, a niemiłosierny bałagan zostanie uporządkowany.

Tym, który może wpuścić w nasze serca świeże powietrze, jest oczywiście Jezus Chrystus i to On będzie centrum tych rozważań, ponieważ tylko On może prawdziwie rozświetlić nasze mroki i zamienić chaos w harmonię.

Zapraszam więc do wspólnych poszukiwań na kartach Ewangelii, a także w swoim codziennym życiu, błysków Jego zmartwychwstania, błysków, które będą niczym innym jak namacalnym doświadczeniem przejścia ze śmierci do życia.

URZEKAJĄCA BRZYDOTA

Za każdym razem, kiedy przypominam sobie legendę o tym, jak Jezus objawił się św. Marcinowi, robi ona na mnie kolosalne wrażenie. Marcin to był święty inteligentny, nie dał się łatwo zbić z tropu.

Gdy rozmawiał z Panem Jezusem, czuł, że coś mu nie pasuje. Chcąc mieć pewność, że ten, z którym się spotyka, to naprawdę Chrystus, zrobił genialną rzecz – powiedział: „Panie Jezus, pokaż mi swoje rany”.

Co się okazało? Nagle piękny wizerunek Jezusa gdzieś się rozmył, a w powietrzu zaczął się unosić cuchnący swąd siarki. Jasne więc było, że za tym wszystkim krył się nikt inny jak demon.

Szatan jest bowiem w stanie podrobić wszystko, ale nie potrafi spreparować ran Chrystusa. Dlaczego?

Bo one są znakiem niepojętej i niewiarygodnej miłości Boga, która nie mieści się w głowie ani demonowi, ani żadnemu z nas.

Bóg dał się poranić, pozwolił się zabić z miłości do człowieka

– tego nie sposób pojąć!

Kiedy Jezus osiem dni po swoim zmartwychwstaniu pojawia się w Wieczerniku, staje przed apostołem Tomaszem i mówi: „**Włóż swoje palce w moje rany**” (por. J 20,27).

W tych słowach Chrystus przekazuje nam co najmniej dwie niezwykle ważne wiadomości.

Pierwsza z nich brzmi: „Pamiętam”, co oznacza: „pamiętam o twoim bólu, cierpieniu, o twoich ranach. To nie jest tak, że skoro zmartwychwstałem i mam przebóstwione, przemienione ciało, nasze drogi się rozchodzą – będziesz się męczył tu na ziemi i dopiero po śmierci, gdy się pojawisz po drugiej stronie, wszystko będzie w porządku”.

Zmartwychwstały Jezus nie traci kontaktu z naszym bólem, cierpieniem. On o tym wszystkim pamięta.

Co więcej – i jest to druga zupełnie niewiarygodna wiadomość – **Jezus nie tylko ma rany, ale w Jego ranach kryje się nasze uzdrowienie.**

Aby to dobrze zrozumieć warto przypomnieć sobie, że zanim Jezus zmartwychwstał, zanim Jego rany były przebóstwione, został strasznie zwałtretowany fizycznie, pokiereszowany i oszpecony.

Jak czytamy w ewangelicznych opisach Jego męki lub w zapowiadającym ją proroctwie z Księgi Izajasza (por. Iz 53,2-3), Chrystus był tak poraniony, okaleczony i poobijany, że ludzie zasłaniali twarz, nie mogli bowiem znieść tak wstrętnego i okropnego widoku.

Wiem, że brzmi to strasznie, ale Jezus w chwili śmierci był fizycznie odrażający, po zmartwychwstaniu zaś, pomimo że dalej ma te same rany, jest kimś pięknym, pełnym blasku. Co to oznacza?

Już dzisiaj, a także w każdym momencie życia, gdy podczas modlitwy wkładamy swoje rany w rany Chrystusa, możemy doświadczyć cudu, który polega na tym, że nasz ból – duchowy, emocjonalny czy fizyczny – zaczyna prowadzić nas do radości i pokoju.

Już dzisiaj możemy zacząć doświadczać tego, że nasza brzydota, wewnętrzna czy zewnętrzna, będzie stawała się czymś urzekającym i pełnym wdzięku, a przekleństwa i hańby będą zamieniać się w coś, co nazwiemy błogosławieństwem, a nawet swoją chlubą.

W Jego ranach jest nasze uzdrowienie (por. Iz 53,5: **Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie.**).

Bóg ma moc wszystko uzdrowić i całkowicie nas przemienić, ale, jak twierdzą ojcowie Kościoła, może się to dokonać tylko wtedy, gdy na modlitwie, stojąc twarzą w twarz przed Bogiem, będziemy mieli odwagę odsłonić to, co nas boli i czego się wstydzimy, gdy zdobędziemy się na to, by swoje rany zanurzyć w ranach Chrystusa.

NIEOBLICZALNA NADZIEJA

Francuski filozof Gabriel Marcel mawiał, że kochać kogoś to powiedzieć mu:

„Ty nigdy nie umrzesz”.

To zdanie jak ulał pasuje do Marii Magdaleny. Ona w niedzielny poranek zmierza do miejsca, gdzie był pochowany Jezus, z sercem ściśniętym bólem.

Myślę, że w swoim cierpieniu Maria Magdalena była na granicy rozpacz i obłąd, ale jednocześnie miała w sobie coś niezwykle intrygującego.

Z jednej strony wiedziała, jakie są fakty, z drugiej zaś strony zachowuje się, jak gdyby to wszystko się nie wydarzyło.

Stoi przy grobie i całą sobą mówi: „Nie przyjmuję tego do wiadomości. Za bardzo Go kocham, bym mogła uwierzyć, że ta historia skończy się w ten sposób”.

Wydaje się, że Maria Magdalena jest osobą bardzo kruchą, delikatną, wstrząśniętą bólem, a jednocześnie trudno oprzeć się wrażeniu, że w niej tli się potężna siła chrześcijańskiej nadziei.

Bardzo lubię powieści G. Bernanosa albo H. G. Greena. Nie wszyscy je lubią, dlatego że jest to literatura dosyć smutna i brutalna. Mnie w tych powieściach natomiast urzeka to, że choć nie można powiedzieć, że te historie kończą się happy endem, to jednak autorzy na samym końcu swoich narracji potrafią umieścić pozytywny pierwiastek, pyłek nadziei, który sprawia, że czytelnik nie jest w stanie z czystym sercem stwierdzić: „Ta opowieść źle się skończyła”.

Ten niewielki element nadziei, bardzo niepozorny i kruchy roztopia całą beznadzieję, a jego umieszczenie na końcu powieści rozmontowuje od środka bezsens, który narastał z rozdziału na rozdział i który wydawał się niezwyciężony.

Myślę, że czymś podobnym jest nasza chrześcijańska nadzieja.

Jak wyznawcy Chrystusa z jednej strony doświadczamy mnóstwa Bólu i trudności, z drugiej zaś, odkąd Jezus zmartwychwstał, nie możemy powiedzieć, że cierpienie to ostateczna prawda o świecie, a śmierć jest definitywnym końcem wszystkiego.

Znikają z naszego słownika takie wyrażenia, jak „ostateczna klęska” czy „kompletna porażka”.

Co więcej, gdyby ktoś postawił wagę i na jednej szali położył całą lawinę utrapień, pokus, trudnych, bolesnych doświadczeń, a na drugiej ten niewielki pierwiastek, pyłek, skrawek nadziei, to szala przechyliłaby się na stronę nadziei.

Powiem teraz coś bardzo niestosownego, czym z pewnością Maria Magdalena może poczuć się urażona: ona trochę przypomina mi boksera.

My chrześcijanie wszyscy jesteśmy bokserami, którzy co chwila wychodzą na ring, by mierzyć się z życiem, pokusami i samymi sobą.

W tej walce można nas poranić, poobijać, zmaltretować, a nawet nadłamać, ale jednocześnie nie ma takiej siły, która mogłaby nas kompletnie i ostatecznie powalić na ziemię.

Święty Paweł w Liście do Rzymian mówi, że absolutnie nic nie jest w stanie odłączyć nas od miłości Chrystusa (Por. Rz 8,38-39: **I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani moce, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.**) i to prawda!

W dniu zmartwychwstania otrzymaliśmy od Chrystusa bardzo kruchą, delikatną, a jednocześnie niesamowitą siłę – **nadzieję**.

NIEBIESKI SUFLER

Jestem żebrakiem i codziennie siedzę przy ulicy, licząc na to, że ludzie wrzucą mi do mojego śmiesznego kapelusza jakieś grosze. Mimo że siedzę cały dzień, nie mogę nic uzbierać.

W końcu przychodzi noc, a ja zasypiam i wtedy zjawia się tajemniczy, bogaty człowiek, który do mojego żebraczego worka wkłada sztabę złota.

Budzę się rano, ale nie przychodzi mi do głowy, by zajrzeć do środka, więc dalej siedzę przy drodze i czekam na datki.

- I teraz pytanie za sto punktów: czy jestem bogatym człowiekiem czy nędznym biedakiem?

Z jednej strony jestem niezwykle bogaty, bo w moim worku jest złoto. Z drugiej natomiast jestem żałośnie biedny, ponieważ nie sprawdziłem, co mam w worku, i nie wiem, że mam złoto, które mogę wykorzystać czy jakoś zainwestować.

Dlaczego przywołuję tę historię? Bo według mnie jest to opowieść o uczniach idących do Emaus (por. Łk 24,13-35).

Dwóch mężczyzn dotkniętych smutkiem i rozczarowaniem odchodzi z Jerozolimy do Emaus. Oni tak naprawdę już wszystko wiedzą, doskonale znają proroctwa i Pisma, ale na skutek smutku, który ścisnął im serca, nie potrafią tej wiedzy poukładać, posklejać faktów z zapowiedziami ani też odnaleźć sensu w tym wszystkim, co już posiadają.

Dopiero kiedy zjawia się obok nich tajemniczy, nieznajomy Wędrowiec i zaczyna im pomału tłumaczyć Pisma, wtedy przychodzi światło i zaczyna pojawiać się sens.

Myślę, że to także historia o każdym z nas.

Bóg już dawno temu wszczepił w moje serce wszystko, czego potrzebuję, by być człowiekiem szczęśliwym i spełnionym. Niestety z jakiegoś powodu – smutku, lenistwa, grzechu itp. – jest to we mnie przesłonięte, nie widzę sensu, a to, co stanowi prawdziwe moje bogactwo, odchodzi na drugi plan.

W historii uczniów idących do Emaus, a także w naszych codziennych historiach, nazwałbym Jezusa boskim suflerem.

Sufler, który w teatrze pomaga aktorowi, nie mówi mu nic nowego, ale czyta to, co ten wcześniej znał, umiał na pamięć, ale z jakiegoś powodu nie potrafi sobie tego przypomnieć.

Podobnie jest z Jezusem, który przychodzi do nas w swoim słowie – nie wymyśla niczego nowego, tylko przypomina o tym, co już dawno w sobie nosimy, czyli prawdę o tym, że **jesteśmy ukochanymi, wybranymi, niepowtarzalnymi dziećmi Pana Boga**.

Moje doświadczenie wiary jest takie, że jeszcze nigdy nie rozczarowałem się tym, w jaki sposób Bóg prowadzi mnie przez życie. Oczywiście w wielu momentach byłem na zakrętach lub przez długi czas musiałem czekać, aż objawi się sens pewnych wydarzeń, sytuacji z mojego życia.

Natomiast z perspektywy czasu widzę wyraźnie, jak Bóg, biorąc za rękę, prowadzi mnie przez kolejne lata, wydarzenia, a z pozornego chaosu i zamętu pomału wyłania się sens, ład i porządek.

Historia uczniów, którzy idą do Emaus, i ich boskiego suflera Jezusa Chrystusa zaprasza nas do przynajmniej dwóch rzeczy.

Po pierwsze wzywa: „Nie trać ufności. Nigdy, ale to nigdy nie wątp w to, że Bóg trzyma twoje życie w swoich rękach. Nawet jeżeli dzisiaj czegoś nie widzisz lub nie rozumiesz, nosisz w sobie rozczarowanie czy poplątanie, pamiętaj – twoje życie jest w rękach Boga”.

Jeżeli ocalimy w sobie tę ufność, to kolejną rzeczą, do której niemalże od razu jesteśmy zaproszeni, będzie modlitwa:

„Panie Jezu, proszę Cię, zacznij wyjaśniać mi moją historię. Chcę posłuchać, co myślisz o mnie i o moim życiu. Proszę, wyjaśnij mi na nowo, kim jestem i do czego zostałem wezwany, powołany”.

Niektórzy twierdzą, że gdy pojawimy się w niebie, to pierwszym okrzykiem, który z siebie wydamy, będą słowa: „Już wszystko rozumiem!”.

Myślę jednak, że nie musimy czekać aż do tego momentu.

Już dzisiaj, gdy wsłuchujemy się w Słowo, kiedy stajemy na modlitwie przed Bogiem i mówimy:

„Panie Jezu, wyjaśnij mi moje życie, podpowiadaj mi, kim jestem”,

możemy doświadczyć tego, że zaczynamy rozumieć, jak bardzo zostaliśmy obdarowani i jak ogromny sens ma nasze życie.

WIDZĄCY

Dwie osoby patrzą dokładnie na to samo, ale widzą zupełnie coś innego. Nie jest to jednak problem, jeśli sprawa dotyczy czegoś mało istotnego. Problem powstaje wtedy, kiedy chodzi o rzeczy najważniejsze.

Właśnie tego typu problem mają dwaj apostołowie: Piotr i Jan.

Obaj słyszą o tym, że grób, w którym został pochowany Jezus, jest pusty, i obaj biegną, żeby to potwierdzić, sprawdzić, o co w tym wszystkim chodzi.

Jan pierwszy przybiega do grobu, ale to Piotr najpierw wchodzi do groty. Wchodzi i widzi rozrzucone szaty, brak ciała, widzi to wszystko i nic więcej, więc wychodzi. Za chwilę wchodzi Jan. Widzi dokładnie to samo: pusty grób i rozrzucone szaty, ale Jan patrzy i wierzy.

Na tym polega różnica między Piotrem i Janem – obaj patrzą dokładnie na tę samą rzeczywistość, natomiast Piotr nie widzi, a Jan widzi.

Na określenie spojrzenia Jana Ewangelia używa greckiego słowa **eidēn**, które oznacza „widzieć dalej, głębiej” albo które czasem tłumaczy się jako „widzieć i rozumieć”.

Mnisi twierdzą, że takie spojrzenie wynika z duchowej inteligencji, dzięki której człowiek patrzy na otaczającą go rzeczywistość w sposób przebóstwiony, przemieniony.

Jego umysł jest dotknięty łaską zmartwychwstania, więc potrafi widzieć siebie, swoje otoczenie ludzi żyjących obok niego przez pryzmat wiary.

Różnica między spojrzeniem Piotra i Jana przypomina więc trochę różnice między tym, jak na Najświętszy Sakrament patrzy człowiek posiadający łaskę wiary i ktoś niewierzący.

Te dwie osoby widzą dokładnie to samo – prosty, biały kawałek chleba, ale ta, która nie ma jeszcze łaski wiary, widzi tylko to, co zewnętrzne, biały opłatek. Natomiast człowiek wierzący, choć widzi dokładnie to samo, to pod tym, co zewnętrzne, pod prostym białym chlebem, dostrzega sens i realnie obecnego Chrystusa.

➤ Dlaczego Piotr i Jan patrzą inaczej? Z czego wynika ta różnica?

By to zrozumieć, trzeba przypomnieć sobie, co działo się z Piotrem kilka chwil wcześniej.

Piotr potknął się o zbytnią pewność siebie – podczas ostatniej wieczerzy mówił: „**Panie Jezu, pójdę za Tobą w ogień, dam się za Ciebie zabić**” (por. Mt 26,35), a potem za moment wyparł się Jezusa, zdradził Go, uciekł spod krzyża.

Od tego czasu Piotr miał ściśnięte i ociężałe serce, nosił w sobie niepojęte, palące poczucie winy, które sprawiło, że nie był w stanie zobaczyć czegoś więcej, czegoś głębszego.

Natomiast Jan to ten uczeń, który podczas ostatniej wieczerzy siedział najbliżej Jezusa, miał ucho położone przy Jego sercu, wsłuchiwał się w to, jak bije serce Boga (dlatego do dziś uważa się Jana Apostoła za patrona wszystkich ludzi, którzy modlą się kontemplacyjnie, czyli karmią się słowem Bożym).

Jan

- ❖ był zasłuchany w Boga,
- ❖ jako jedyny nie uciekł spod krzyża, wytrzymał w tym cierpieniu, nie zniknął, gdy Jezus umierał.
- ❖ przygarnął do siebie Maryję, czyli osobę pełną wiary i słowa Bożego.

Wielkim darem i łaską było to, że Jan, wchodząc do pustego grobu, był w stanie zobaczyć życie.

Co jednak ważniejsze, takie widzenie nie jest zarezerwowane tylko dla św. Jana. Każdy z nas jest zaproszony do wejścia w to doświadczenie, do przyjęcia tej łaski.

I o ile do Chrystusa należy, by przemienić nasze spojrzenie, by dotknąć naszego umysłu, to jak się okazuje, możemy Panu Bogu w tym pomóc, robiąc dokładnie to, co robił wcześniej apostoł Jan, by mieć czyste, otwarte serce, by nie patrzeć na ślepo, ale patrzeć i widzieć.

Po pierwsze więc, miej ucho przy sercu Boga, czyli podejmij decyzję o tym, żeby stać się człowiekiem modlitwy. Nasłuchuj głosu Boga, karm się Ewangelią, aktywnie szukaj momentów, w których będziesz mógł słuchać Pana w Jego słowie i delectować się Bożą obecnością.

Po drugie, nie panikuj w cierpieniu, nie uciekaj od doświadczeń, które są dla ciebie przykre i trudne do zniesienia. Zgadzam się, że w takich chwilach nie jest łatwo wytrwać, prosz zatem o ufność, żeby zbyt szybko i niepotrzebnie nie uciekać, tak jak Jan nie uciekł spod krzyża.

I **po trzecie**, rozejrzyj się wokół siebie w poszukiwaniu kogoś, kto może być dla ciebie kimś jak Maryja dla Jana, czyli świadkiem Ewangelii. Bardzo potrzebujemy takich ludzi, którzy swoją wiarą, modlitwą, swoim świadectwem będą nas wspierali.

Właśnie tych trzech rzeczy trzeba się uchwycić, by przydarzyło się nam to, co św. Janowi, by nasze serca tak się poszerzyły, że będą w stanie zobaczyć w grobie życie.

To szalenie kusząca perspektywa, do której jesteśmy przez Boga dziś bardzo zaproszeni.

POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI

„Ludzie Boga” to jeden z moich ulubionych filmów. Opowiada o prawdziwych wydarzeniach, które działy się w Algierii pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy to kilku mnichów (trapistów) zostało zamordowanych przez islamskich terrorystów.

W tym filmie pojawia się niezwykle wzruszająca scena, która przedstawia Wigilię Bożego Narodzenia. Wieczorem mnisi spotykają się przy jednym stole, nic nie mówią – dlatego, że prawdziwi, porządni mnisi, jeśli nie muszą, to nie mówią – i właśnie dzięki temu, że nie pojawia się ani jedno słowo, to co najważniejsze, brzmi z wielką mocą.

Trapiści siedzą przy stole, spoglądają na siebie i jedni mają na twarzy wypisane wzruszenie, w ich oczach pojawiają się łzy, a inni lekko się uśmiechają. Wszyscy są niezwykle przejęci, ponieważ zdają sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej jest to ich ostatnie Boże Narodzenie.

Kiedy bliżej poznajemy tych braci, to wiemy, że wcale nie jest to bardzo silna wspólnota. Tworzą ją ludzie, którzy mają swoje słabości, lęki, problemy. Co więcej, między nimi nie zawsze układa się najlepiej, rodzą się animozje, konflikty, spory.

Jednocześnie jednak w tej kruchości i słabości dostrzegamy niezwykłą siłę, która wynika z tego, że w centrum tej wspólnoty jest nie kto inny, tylko Jezus Chrystus.

Po zmartwychwstaniu Jezus pojawia się nad Jeziorem Galilejskim i dokonuje niezwykłego cudu połowu ryb.

Uczniowie łowią 153 ryby, a potem Jezus zaprasza ich na śniadanie. Wcześniej rozpałił ognisko i przygotował rybę oraz chleb.

Myślę, że można tę scenę, w której uczniowie gromadzą się wokół Jezusa, zatytułować "Powrót do przeszłości". Dlaczego?

Ponieważ z jednej strony pozornie nie dzieje się w niej nic nowego - apostołowie przecież wielokrotnie z Jezusem jedli, rozmawiali, wspólnie spędzali czas. Z drugiej zaś, odkąd Chrystus zmartwychwstał, to ich wspólne bycie ma zupełnie inną, nową jakość.

Nie chodzi o to, by uczniowie tworzyli wspólnotę kolegów czy przyjaciół ani też towarzystwo wzajemnej adoracji.

Mają być wspólnotą, w której razem są bardzo różni ludzie, ludzie o odmiennych poglądach, wrażliwościach, charakterach, ale których scala i jednoczy ze sobą osoba Jezusa Chrystusa.

Dlaczego o tym mówię?

Ponieważ **nie potrafię wyobrazić mojego życia i mojej wiary bez modlitwy osobistej**, czyli tego indywidualnego spotkania, w którym rodzi się niezwykła zażyłość z Chrystusem, a jednocześnie

nie umiem wyobrazić sobie wiary i życia bez modlitwy we wspólnocie.

Gdy trwam w modlitwie razem z moimi współbraćmi czy też innymi osobami, to

- ❖ po pierwsze także między nami rodzi się wyjątkowa zażyłość. I choć mogę się z kimś nie zgadzać, czasem nawet nie lubić tej osoby, to dzięki temu, że modlimy się razem, rodzi się między nami coś trudno uchwytnego, ale jednocześnie bardzo silnego, łączy nas duchowa więź.
- ❖ Po drugie zaś, gdy jestem we wspólnocie, doświadczam niezwykłej mocy wstawiennictwa, według tego, co powiedział Jezus: "**Gdzie jest dwóch lub trzech, którzy gromadzą się w moje imię, tam Ja jestem pośród nich**" (por. Mt 18,20).

Z modlitwy we wspólnocie rodzi się potężna siła.

- ✚ **Nasz Bóg jest Bogiem Jedynym, ale obecnym w trzech Osobach.**
- ✚ **To jest Bóg, który żyje we wspólnocie, który żyje w relacji.**

Każdy z nas zaś jest stworzony na Jego obraz i podobieństwo.

Nie ma zatem dla nas ważniejszej sprawy niż miłość, a **jeśli miłość, to tylko we wspólnocie, tylko w relacji.**

OSTATNIA ROZMOWA

W ostatnim rozdziale Ewangelii św. Jana znajdujemy opis niezwykłego spotkania, a raczej historię najważniejszego pytania w dziejach wszechświata i historię pewnego tajemniczego kamienia.

Po zmartwychwstaniu Jezus pojawia się nad Jeziorem Galilejskim i tam spotyka się z Piotrem.

Niezwykłe ujmujące jest to, że to Chrystus wychodzi z inicjatywą spotkania. Nie Piotr rozpoczyna rozmowę, ale robi to Jezus, chociaż teoretycznie to On powinien czekać, aż Piotr przyjdzie do Niego, przeprosi, wyrazi skruchę za zradę.

Dzieje się inaczej – Jezus jako pierwszy wychodzi do Piotra, chociaż nie musi tego robić, bo to On został zdradzony i odrzucony.

Co więcej, Jezus w żaden sposób nie potępia Piotra. Nie pojawia się ani jedno słowo, w którym Chrystus powiedziałby Piotrowi: „Jesteś fatalny, beznadziejny. Jak mogłeś zachować się w taki sposób? Zdradziłeś Mnie, rozczarowałem się tobą”.

Żadne tego typu słowo z ust Jezusa nie pada. Jakby tego było mało, Jezus także nie czeka, aż Piotr się wytłumaczy, On w ogóle nie podejmuje tematu, jak gdyby nie był zainteresowany wyjaśnieniami, dlaczego tak się stało, co Piotr czuł, co wtedy myślał.

Jezus ogranicza się wyłącznie do jednego, trzykrotnie powtózonego pytania: „Czy Mnie kochasz? Czy chcesz Mnie kochać? Czy będziesz próbował Mnie kochać?” (por. J 21,15-17: **A gdy spożyli śniadanie, rzekł Jezus do Szymona Piotra: Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci? Odpowiedział Mu: Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham. Rzekł do niego: Paś baranki moje. I znowu, po raz drugi, powiedział do niego: Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie? Odparł Mu: Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham. Rzekł do niego: Paś owce moje. Powiedział mu po raz trzeci: Szymonie, synu Jana, czy kochasz Mnie? Zasmucił się Piotr, że mu po raz trzeci powiedział: Czy kochasz Mnie? I rzekł do Niego: Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham. Rzekł do niego Jezus: Paś owce moje.**).

Nazwałem to spotkanie „Ostatnią rozmową”, ponieważ wszystko, co od tego momentu dokona się pomiędzy Jezusem a Piotrem, wszystko, co będzie spotykało Piotra w kolejnych latach, będzie wracało do tej rozmowy i w tym pytaniu będzie poszukiwał sensu.

To jest najważniejsza rozmowa i najważniejsze pytanie w dziejach chrześcijaństwa.

Nigdy nie zrozumiemy Chrystusa i chrześcijaństwa, jeżeli zapomnimy o spotkaniu nad Jeziorem Galilejskim, jeżeli zapomnimy o pytaniu o miłość.

Kilka lat temu, kiedy byłem w Ziemi Świętej i dotarłem właśnie do tego miejsca, w którym według tradycji wydarzyła się ta rozmowa między Jezusem a Piotrem, to zabrałem stamtąd kamień.

I chociaż jest to bardzo mało prawdopodobne, lubię myśleć, że ten kamień był świadkiem tego niezwykłego spotkania, że przyglądał się tej niezwykłej rozmowie Jezusa z Piotrem.

Lubię o tym myśleć w ten sposób, ponieważ za każdym razem, kiedy ja naruszę swoją relację z Chrystusem, kiedy mam wrażenie, że zdradziłem, zgrzeszyłem, upadłem, to wtedy z szuflady przy moim biurku spośród wszystkich szpargałów i rupieci wyciągam właśnie ten kamień z brzegu Jeziora Galilejskiego, biorę go do ręki, spoglądam na niego i przypominam sobie tę ostatnią rozmowę Jezusa z Piotrem, z tą różnicą, że nie ma w niej Piotra, tylko jestem ja, z moim lękiem, ze zbolałym sercem, które jest właśnie dotykane przez Jezusa pytaniem o miłość.

Ostatnia rozmowa Jezusa z Piotrem to rozmowa ze mną, z tobą, to najważniejsze pytanie, które zadaje nam Jezus.

✚ „Czy Mnie kochasz? Czy chcesz Mnie kochać? – to pytanie jest decydujące, najważniejsze ze wszystkich pytań, jakiegokolwiek w życiu usłyszeliśmy.